



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50. Wszelkie listy i korespondencje adresować należy: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago. Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu "Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

+ P. A. FREHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

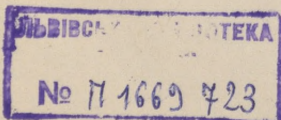
DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 17 Stycznia.	Antoniego op. i Sulpic.	Rościsław.
Piątek, 18 Stycznia.	Pryski p. m.	Jaropek.
Sobota, 19 Stycznia.	Marcjusza i Germanika.	Ratymir.
Niedziela, 20 Stycznia.	2 po 3 Zr. Fabiana i Sebast.	Sebastyan.
Poniedziałek, 21 Stycznia.	Agnieszki p. m.	Jarosława.
Wtorek, 22 Stycznia.	Wincentego.	Wityslaw.
Środa, 23 Stycznia.	Zasłabienia NMP. i Ildef.	Wroclaw.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ DRUGĄ PO TRZECH KRÓLACH.

Evangelia św. Jana w rozdziale II.

W owym czasie były gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej, a była tam matka Jezusowa. Wzywany też był i Jezus, i uczniowie Jego na gody. A gdy nie stało wina, rzekła matka Jezusowa do Niego: Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Co mnie i tobie niewiasto? jeszcze nie przyszła godzina Moja. Rzekła matka Jego sługom: Cokolwiek wam rzecze, czyńcie. I było tam sześć stągwi kamiennych, według oczyszczenia żydowskiego postanowionych, biorących w się każda dwa albo trzy wiadra. Rzekł im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż do wierzchu. I rzekł im Jezus: Czerpajcież teraz, a doniesicie przełożonemu wesela. I donieśli. A gdy skosztował przełożony wesela wody, która stała się winem, a nie widział z kądby było (lecz słudzy wiedzieli, którzy wodę czerpali), wezwał oblubieńca przełożony wesela i rzekł mu: Wszelki człowiek podaje pierwszy wino dobre, a gdy się napiją, tedy podlejsze. A tyś wino dobre zachował aż do tego czasu. Ten początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej; i okazał chwałę Swą, i uwierzyli weń uczniowie Jego.



Kościół walczy — Kościół zwycięża.

III.

W szesnastym wieku powstał zuchwały i dumny Luter odpadł od Kościoła, a za cel swego życia i bałamuctw swoich postawił sobie i wytknął, obalić papieństwo i zgruchotać opokę św. Piotra. Papieża tak nienawidził, że nie wahał się powiedzieć, iż nie byłby obalił nauki kościelnej o najsw. Sakramencie, gdyby był wiedział, że z tem razem nie obali papieństwa. "Bóg niech was napełni nienawiścią ku papieżowi," powiedział raz pewnego do zebranych swych kaznodziejów. Przeciw papieżowi napisał książkę, w której ile wyrazów, tyle bluźnierstw, a na jej początku umieścił obrazek, od którego z pewnością odwróciłby oko każdy, co nie stał z twarzy wstydu uczciwego. W końcu wołał: "papieżu, za życia byłem ci zarazą, po śmierci będę ci zniszczeniem." — Biedny — lat wiele bałamucił, nawet do noża porwali się zwolnicy jego nauki. — On umarł — 300 lat już przeszło od onej chwili — a papież tak w Rzymie nami rządzi, jak rządził dawniej. Jego zaś wiara i nauka chroma bardzo i choremu podobna człowiekowi. — Kościół nasz Boży wiele wycierpiał wtenczas, wiele krajów od niego oderwano, wiele jego dzieci obalamucono; — jednak tam dzisiaj znów kwitnie, znów gotów do walki, — mocny, silny, nieprzeparty!

Jakie to straszne w tym samym czasie walki staczać musiał św. nasz Kościół w Anglii, gdzie król Henryk VIII odpadł od niego i nowy sobie założył Kościół bez papieża a to dla tego, że papież nie dał mu rozvodu z prawowitą jego żoną i że go napominał, kiedy ją opuściwszy z inną połączył się kobietą. Katolik wtenczas w Anglii żadnego nie miał prawa. Nie wolno mu było nic posiadać, nie mógł być urzędnikiem państwa; — król heretycki i jego poprzednicy ssali katolików aż do ostatniej kropli krwi, jak pijawki. Więzieniem i śmiercią karano tych, co słuchali papieża; więzieniem tych, co chodzili do Kościoła i przyjmowali Sakramenta św. — Takie prawo wydała królowa angielska i jej ministrowie, że nie wolno kapłanowi katolickiemu pod karą

200 marek i jednego roku więzienia odprawić Mszy św.; — że nie wolno katolikowi słuchać Mszy św. pod karą 100 marek i jednego roku więzienia; — że nie wolno w domu mieć księdza katolickiego pod karą jednego roku więzienia. — Więzienia zapełniły się kapłanami, katolików rujnowano pod względem majątkowym; — wielu zginęło pod nożem i toporem; katolik żadnego nie miał prawa; tylko kary mógł płacić i zapełniać więzienia. A co to wycierpiał Kościół katolicki i z nim katolicy w Irlandyi aż do najnowszych prawie czasów! Na czołe każdego Irlandczyka napisaćby można złotemi literami: to męczennik, wyznawca Jezusa z dziada i pradziada! Niewolnikami od wieków i najbogatsi byli Irlandczycy, a zniesli wszystko z cierpliwością! — I ustało prześladowanie; — w Angli i Irlandyi kwitnie Kościół; — dzisiaj najzamożniejsi, najuczciwsi wracają na łono Kościoła katolickiego, a arcybiskupa londyńskiego, kiedy wrócił niedawno z Rzymu jako kardynał, Londyn przyjmował z wielką czcią i wielkimi honorami. Czyż nie prawdą, co powiedział Pan Jezus: i bramy piekła go nieprzemogą!?

A jakie straszne spustoszenia uczyniła w Kościele rewolucya we Francyi w końcu przeszłego stulecia; rewolucya, która Kościół, Biskupów i kapłanów i wiernych oderwać koniecznie chciała od Papieża, a ostatecznie wydrzeć wszystką wiarę ze serc ludzkich! Kiedy głowa królewska z pnia spadła (1793 r.) pod toporem rewolucjonistów, zapełniono księżmi i zakonnikami więzienia. — Kapłanów wiernych Kościołowi 400 zamordowano w przeciągu siedmiu dni, a między nimi Arcybiskupa Arletańskiego; — na ulicach strzelano do księży dla igraszki; — tysiące księży wysyłano za morze do odludnych krain, dręczono na statkach i okrętach, głodzono; — robactwo ich żywcem pożerało; — wydzierano im z rąk brewiarze i różańce, suknie kapłańskie zdzierano! Do Kościoła w Paryżu tłuszcza pijana i zjadła wprowadziła ulicznicę, postawiła ją na ołtarzu i składała jej ofiary, krzyż pod nogi jej rzuciwszy. Kościoły zamieniono na miejsca zgorzelenia i biesiad rozpustnych. — Przeszło przecież to wszystko; — przewodzczy rewolucyi ścięto głowę, a Kościół znów wolność odzyskał.

Wolter, pisarz francuski, który tę rewolucyą przygotował swojemi pismami, wielki bluźnierca i otwarty przeciwnik Chrystusa, który na listach swoich się podpisywał: "Wolter szyderca Chrystusa," a młodzieńcem będąc przysiągł, że całe życie prześladować będzie Kościół, pisywał zawsze o Kościele do możliwych swych przyjaciół "wytępcie niegodziwca!" — "Przykrzy mi się, pisał razu pewnego, słuchać, że dwunastu ludzi wystarczyło do zaprowadzenia katolickiej religii. — Ja pokażę, że tylko jednego człowieka potrzeba do jej obalenia. — W dwudziestu latach będzie kwita z Galilejczykiem." — Tymczasem w dwadzieścia lat potem, prawie na dzień i godzinę, wił się Wolter w rozpacz na łóżku, na którym umierał. — Żądał katolickiego księdza, aby go na śmierć przygotował, ale przyjaciele jego zasad bronili księdzu do niego przystępu. I włosy rwał w rozpacz i z rozpaczą umarł. — A jego nieprzyjaciół, Kościół katolicki, i ostał się i dalej żyje.

Wszyscy nieprzyjaciele Kościoła zaginęli; zmarniały ich prace i zabiegi i jak dym się rozwiały, a Kościół stoi nieporuszony. Prawdziwie to skała, — opoka Jezusowa! (C.d.n.)

Jak się działo w Polsce po śmierci Bolesława Krzywoustego.

Piękną pamięć w narodzie zostawił po sobie nasz rycerski Bolesław Krzywousty. W jednym tylko co chybił i bardzo, że nie przekazał Polskę jednemu, ale ją między czterech synów rozdzielił. Pokazałci się on w tej mierze lepszym ojcem niż królem. I niech mu tam Bóg tego nie pamięta, co przez to Polska wycierpiała. Bo to widzicie, nam trzeba się było trzymać kupy, zwłaszcza iżeśmy mieli — jak się już nie raz rzekło moc wrogów, co jeno dybali na naszą zgubę. Otóż póki byliśmy razem, to i była siła po temu, aby sobie nie dać nikomu w świecie przygrywać na nosie. Ale jak tylko ów Bolesław nieroztropnie podzielił kraj mię-

dzy synów, takci zaraz osłabił nas, żeśmy się potem długo podźwignąć nie mogli.

Gdyby jeszcze synowie królewscy kochali się między sobą jak na rodzonych braci przystało, toby jeszcze pół biedy było. Ale to bractwo zaczęło się kłócić, a dołki kopać jeden pod drugim, a nareszcie jak się wzięli za łby ze sobą — tak i zmarnowali ojczyznę. I gdyby wtedy wstał ich ojciec a nasz Bolesław Krzywousty, pewnoby zapłakał nad Polską szczeremi łzami, a umierając drugi raz, jużby więcej nie podzielił był kraju, miarkując po tem, co za nieszczęście z tego podziału wypadło. — Wprawdzie stało się po niejakiem czasie, jak był Bolesław przepowiedział przed śmiercią, przekazując Polskę naszą czterem synom, a najmłodszemu Kazimierzowi nic nie dając: że kiedyś on nad nimi wszystkimi przewodzić będzie. Kazimierz też panował potem w Krakowie — i był z niego król niezgorszy, zwłaszcza dla biednych i utrapionych ludzi bardzo łaskawy i sprawiedliwy, za co go też królem sprawiedliwym nazwali. Aleć już Polska i pod nim nie była taką sławną jak pierwej; a kiedy umarł, to jeszcze gorsze czasy nastały.

Powiada jedno przysłowie: że na pochyłe drzewo lada koza skoczy, — takci wtedy i na biedną naszą Polskę, kto nie chciał, to bił: więc Niemcy, Czechy, Prusaki i siła innych nieprzyjaciół, jako drapieżne wilki nachodziły kraj nasz zdradziecko, a tu nie było sił, żeby się im obronić, bo nie było zgody między książętami. Nie dosyć na tem — w sto i kilkadziesiąt lat potem zerwała się tatarska dzicz od wschodu i niby szarańcza spadła na naszą ojczyznę. A był to, ci Tatarzy, naród pogański i wielce srogi, co ani domów nie mieli, ani żadnego gospodarstwa w kraju swoim, jeno sobie dużo bydła chodowali, zwłaszcza koni, bo ich najwięcej potrzebowali, żyjąc z rabunku i łupieży. Z twarzy też obrzydłe były to chłopiska, bo to ogorzałe jak cygany, z małeńkimi oczkami i o płaskich nosach. Najlepszym dla nich przysmakiem było końskie mięso surowe, a zamiast wody popijali sobie kobyle mleko i krew.

Pierwsi co ich doświadczyli, to nasi biedni Rusini. Siła im

oni miast i pięknych wsi popalili, mnoho ludu pognali w tatarską niewolę, a kniaziowie ruscy musieli na klęczkach chodzić przed starszyzną tatarską i wielkie podatki opłacać. Nakoniec zabrali ich raz ze sobą i kazali się na Polskę prowadzić.

Było to roku pańskiego 1259 — więc już temu sześćset i dwadzieścia pięć lat. — Przeprawiwszy się przez Wisłę, poszli nasamprzód Tatarzy na miasto Sandomierz, a że byli w wielkiej przemocy, toć ani myśleć było o jakiej obronie. Oj, sądnyż był to dzień, skoro wpadli do miasta. A miasto, jak stoi w starych księgach napisano, było bardzo piękne, domy i kościoły wielkie i cudne, z białego ciosu stawiane, — i to wszystko Tatarzy obrócili w niwecz, że ani śladu nie zostało. Cóż dopiero mówić o ludziach! zaraz przy wzięciu miasta poginęło ich bardzo dużo. A nazajutrz księża odprawili nabożeństwo, odśpiewali mszę św. i jęli brać komunię: naprzód sami, a potem już lud cały, co jeszcze został przy życiu, z żonami i dziećmi — wszyscy od małego do największego. Potem zaś wyszli z krzyżami, ze świecami i z kadzidłami na miasto — i był płacz wielki i szlochanie. Mężowie płakali żon swoich, matki dzieci, brat brata, a nie było nikogo, ktoby się był ulitował. Więc Tatarzy zagnali ich z miasta na szerokie błonie wzdłuż brzegów Wisły. I siedzieli tam dwa dni na błoniu. Potem jęli chrześcian mordować, mężów wespół z niewiasty — i nie pozostała z nich żywa dusza.

Tak srodze sprawiwszy się w Sandomierzu, poszli dalej polskim krajem, paląc wszystko po drodze, rabując i mordując. Aż stanęli pod Krakowem. I w Krakowie nie działa się lepiej, bo go zdobyli i ludu wielką moc nazabijali. Dość że przez kilka miesięcy bawiąc w Polsce, tak ją wyniszczyli, że prawie stała się po nich jakoby jaka puszcza.

Oj dużo nadoświadczał nas Pan Bóg w tych latach nieszczęsnych po śmierci Bolesława Krzywoustego. Aż przecie ulitował się nad nami i po tak długim czasie, bo dopiero w sto siemdziesiąt i coś lat, zesłał nam króla wielkiego, jako wybawiciela. Nazywał się on Władysław Łokietek, a to dla

tego tak przezwany, że był bardzo małego wzrostu. Więc ten Łokietek dopiero przy Boskiej pomocy, jak się szczerze zawinął około porządku, tak i postawił naszą biedną Polskę znowu na nogi. I odtąd ci już było nam dobrze, bardzo dobrze... bo po Łokietku panował szczęśliwie Kazimierz Wielki, król chłopków, i Jagiellończykowie, jak to już z poprzednich opowiadań wiecie.

ZAMASKOWANI RABUSIE.

(Z notatek Nowojorskiego tajnego policyanta.)

Kilka lat temu burmistrz małego miasta Stanu Nowojorskiego mię wezwał, abym na miejscu poczynił kroki do wysłedzenia bandy rozbójników, która postrach szerzyła w około. Ellicotsville nazywa się to miasteczko, czyli raczej wielka, długa wieś, położona w pięknej, malowniczej okolicy, wskutek czego latową porą przenoszą się tamdotąd mieszkańcy miast większych.

W Ellicotsville odwiedziłem nasamprzód burmistrza, który w każdym razie najlepsze dać mi mógł wyjaśnienia w tej sprawie. Był to mały, szczupły mężczyzna, który mię grzecznie bardzo przyjął i z rzadką wymową udzielił mi potrzebnych wiadomości.

Od trzech mniej więcej tygodni nie mógł nikt wieczorem, gdy się ściemniło, opuścić miasteczka, jeżeli nie chciał być obrany z pieniędzy i z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Rozbój wykonywało regularnie dwóch mężczyzn, którzy twarze mieli zasłonięte czarnymi krepowemi maskami. Nikomu zresztą żadnej innej krzywdy nie czynili, jeżeli się kto pozwolił dobrowolnie obrabować. Kto się bronił, tego rabusie nietylko obierali ze wszystkiego, ale nadto zbili niemiłosiernie; przypadku morderstwa dotychczas nie było. Wszystko co uczyniono w tym celu, aby rozbójników wykryć, było daremne; daremne nawet były poszukiwania policyj sasiadnych miasteczek.

Poprosiłem burmistrza, aby cel mego przybycia zachował w głębokiej tajemnicy, a po wzajemnem porozumieniu się co do dalszego planu operacyjnego, poszedłem do pierwszego hotelu miasta. Obecni goście rozmawiali tam o najświeższych nowinach, o polityce i religii, o urodzajach i bydle, ostatecznie skierowano także rozmowę na rozboje. Ten opowiadał to, ów znowu owo, ale nikt nie umiał opowiedzieć nic takiego, coby mi do dalszego śledztwa dało jaki punkt oparcia.

Stósownie do otrzymanego zaproszenia udałem się wieczorem do pana Dobell, burmistrza, i według naszej umowy przedstawiony zostałem towarzystwu jako kupiec Clark z Nowego Jorku.

Doznawszy serdecznego przyjęcia, czułem się swobodnym, jak w domu. Oprócz rodziny burmistrza był jeszcze młody jego sekretarz, Jasper Barton, obecny, w którym poznałem mądrego i przebiegłego człowieka. Przy herbacie były rozboje ostatnich czasów głównym przedmiotem rozmowy. Najwięcej oburzony na to łotrstwo był pan Barton, który też wyrażał gotowość swą do pomagania wykrycia tej szajki hultajskiej. Z początku poczułem chęć zwierzenia się młodzieńcowi; ale po dokładnej rozwadze uważałem za rzecz pewniejszą, spełnić swe zadanie bez cudzej pomocy i cudzego wpływu.

Wieczór zszedł bardzo przyjemnie wśród muzyki i wesołej pogawędki; duszą całej zabawy był Jasper Barton, którego dowcip i ujmująca grzeczność dla córki domu i jej rodziców nadzwyczaj przyjemne sprawiały wrażenie.

— Czy pan grasz w szachy? — zapytał mię pan Dobell, którego spokojna natura nie znosiła długo natężenia ożywionego towarzystwa.

— Cokolwiek, — odpowiedziałem.

— Moglibyśmy zagrać partyjkę? Zagramy sobie w przyległym pokoju, a towarzystwo bez nas także dobrze bawić się będzie.

— Z największą chęcią jestem gotów, odpowiedziałem i poszedłem za gospodarzem do przyległego pokoju. Zmiar-

kowałem od razu, że gospodarz nie był bynajmniej biegłym graczem, dla tego też myśl moja nie była wyłącznie grą zajęta.

— Pan Barton, to wcale godny młody człowiek, zauważyłem podczas gdy się burmistrz namyslał nad pociągnięciem figury.

— Z pewnością, z pewnością, znakomity człowiek!

— Czy już dawno tu jest w urzędzie?

— Dopiero sześć tygodni, ale przez pilność swoją, usłużność i bystrość zupełnie zyskał moje zaufanie. Każdy go lubi.

— To zauważyłem, — odrzekłem z uśmiechem, umie on zyskać względy u mężczyzn, a jeszcze lepiej u kobiet.

— Tak jest. Powiem panu otwarcie, że widocznie konkuruje do mojej córki, i jeżeli się o nią oświadczy, z chęcią dam moje zezwolenie. Barton niema majątku, ale ja, — dzięki Bogu — mam dosyć, a zresztą majątek nie jest koniecznym warunkiem szczęścia.

— To prawda. Zresztą widać, że to i mądra głowa.

— Rozumie się. Sam proboszcz nasz przyznaje, że mało jest do niego podobnych. Wystaw sobie pan: mówi po niemiecku i po francusku, jak rodowity Niemiec lub Francuz.

— Doprawdy!

Graliśmy po tej przerwie dalej, i potem jeszcze dwie partye. Pozwoliłem staremu wygrać dwie partye, aby go w dobrym utrzymać humorze, bo wiem z doświadczenia, że nie tak człowieka nie drażni, jak gdy przegra w szachy kilka partyi po sobie. Ale i ta gra niezadługo gospodarza zaczęła nudzić, dla tego nie chciał grać dalej. Aby odegnąć senność, rzekł:

— Zapalmy sobie cygaro.

Zgodziłem się na to, zapaliliśmy cygaro, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Pan Dobell krótko odpowiadał na wszystkie moje pytania, aż ostatecznie zamilkł zupełnie: usnął na krześle z cygarem w ręku.

Przez czas pewien siedziałem spokojnie; paląc cygaro, układałem w myśli rozmaite plany. Z przyległego pokoju

dochodziły głosy przez uchylone drzwi; z początku rozmowa nie była dość głośna, a słowa były niezrozumiałe, ale stawały się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie chcąc niechcąc, mogłem usłyszeć całą rozmowę. Powinienem być może pokazać się rozmawiającym, aby widzieli, że nie są sami; ale charakter mój jako urzędnika policyjnego nie pozwalał na uwzględnienie takich delikatnych uczuć, a nawet nakazywał korzystać ze wszystkiego, cokolwiekby się dało usłyszeć. Najnieznaczniejsza bowiem drobnostka nawet jest nieraz kluczem do największych tajemnic.

Jasper Barton i panna Emilia Dobell byli bezwątpienia sami w salonie.

— Mam największy szacunek do ojca pani — słyszałem młodego człowieka mówiącego, — ale droga Emilio, chciałbym abyś pani inną rolę w życiu odgrywała. Skoro będziesz żoną moją, natenczas powinnaś pani zabłysnąć jak gwiazda pierwszego rzędu na wielkim świecie, a nie marnieć tu w tym zakazanym kącie.

— Ależ panie — — —

— Wiem, co pani chcesz powiedzieć, — przerwał jej mowę, — wiem, że te słowa dziwnie się słyszą w ustach podrzędnego urzędnika; ale powiem pani w sekrecie, że już znaczny majątek zaoszczędziłem i jeszcze świetniejsze mam widoki na przyszłość.

— A wszakże pan nie masz już rodziców?

— Niemam rodziców, ale bogatych krewnych. Spodziewam się — — — tu słowa jego stawały się tak niewyraźne, że nic nie mogłem zrozumieć. Trwało kilka minut, zanim rozmowa stała się głośniejszą.

— Panie Jasprze, — słyszałem teraz głos Emilii, — nigdy pan mi nie powiedziałeś, w jaki sposób utraciłeś średni palec lewej ręki.

I mnie to podpadło, że Barton nie miał tego palca.

— Doprawdy? — zapytał żartobliwie: — a mnie się zdawało, że pani to już wie od dawna. Gdy jeszcze byłem chłopcem — — —

Burmistrz obudził się i nie mogłem dłużej przysłuchiwać się rozmowie. Po chwili pożegnałem towarzystwo i poszedłem do hotelu.

Mam ten zwyczaj, że wieczorem, gdy się udaję na spoczynek, przypominam sobie raz jeszcze w domu szczegółowo wszystkie zajścia dnia całego, i zastanawiam się nad najdogodniejszymi środkami do wykrycia zbrodniarzy, na których jestem tropie. I teraz rozważywszy wszystko, co o rabusiach usłyszałem, przyszedłem do przekonania, że zbrodniarze znajdować się muszą w mieście samem, bo wszystkich, których napadali, nazywali po nazwisku. Po namyśle przyszedłem do przekonania, że najlepszym środkiem wyśledzenia rabusiów jest, dać się przez nich obrabować, i zbliżyć się im przypatrzeć.

Nazajutrz starałem się o to, aby w każdej rozmowie zręcznie o tem wspomnieć, że wyjeżdżam do Albany. Przedstawiano mi, ażeby nie wyjeżdżał wieczorem, bo bezwątpienia zostanę przez rabusiów zrabowany. Obstawałem jednakże przy mojem postanowieniu, zaręczając, że ważne mam jeszcze interesa do załatwienia, a dziś koniecznie wyjechać muszę.

I pan Dobell sprzeciwiał się bardzo memu postanowieniu.

— Mój panie, — rzekł, — daj pan temu pokój. W ten sposób wystawisz się pan tylko na niebezpieczeństwo, a rabusiów nie wykryjesz.

— Rozważyłem wszystko dokładnie, panie burmistrzu, a gdy coś raz przedsięwzię, nikt mię od tego nie odwiedzie.

— No, jak pan chcesz. Pan sam odpowiedzialnym jesteś za to, co czynisz.

— A pan Barton gdzie?

— Przed chwilą wyszedł do banku.

— Czy mu pan wyjawiliś, kim jestem i po co tu przybyłem?

— Nie powiedziałem mu ani słowa. Nikt prócz mnie nie zna pańskiej tajemnicy.

— Dobrze, zachowaj pan i nadal najściślejszą tajemnicę aż powrócę.

To mówiąc pożegnałem burmistrza i wyszedłem. W drodze spotkał mię Jasper Barton.

— Dzień dobry, panie Clark! — zawołał i podał mi u-przejmie rękę.

— Dzień dobry, panie Barton! Cieszy mię, że pana spotykam, bo muszę pana pożegnać.

— Jakto? Pan już odjeżdżasz?

— Tak jest; dziś wieczorem wyjechać muszę do Albany.

— I pan się nie boisz?

— Czego?

— Rabusiów!

— O tem nie pomyślałem. Naturalnie obojętnym na coś podobnego być nie mogę, bo nieraz znaczne sumy mam przy sobie. Ale — ale byłbym prawie zapomniał o rzeczy najważniejszej. Mam interes w banku i nie wiem, gdzie tu jest bank.

— Bank? Idź pan tylko tą oto ulicą, po lewej stronie na skrócie jest kamienica z brunatnego kamienia; to bank.

Podziękowałem i poszedłem dalej. W banku załatwiłem interes, poczem udałem się do hotelu i oczekiwałem wieczora. Gdy się ściemniło, włożyłem do sakiewki dwa banknoty po dziesięć dolarów, oznaczone czerwonym inkau-stem, i kazałem konia swego osiodłać. Nie miałem zamiaru bronić się, dla tego też nie zabrałem rewolwerów. Była to noc ciemna i zimna; niebo powleczone było gęstemi chmurami, w twarz dał mi ostry wiatr północno-wschodni.

(Dok. nastąpi.)

Nagroda cywilnej odwagi.

Za czasów Napoleona I mieszkał w Dijon we Francyi pobożny katolik, nazwiskiem Capuce, którego małżonka, zmarła w roku 1862, wielkiej świątobliwości miała sławę. Ponieważ stosunki majątkowe tego małżeństwa wcale były

korzystne, dla tego pan Capuce więcej z amatorstwa jak z potrzeby rzucił się na wyrabianie sztucznych kwiatów.

W marcu roku 1814 sposobiło się miasto Dijon na przyjęcie cesarza austriackiego Franciszka I, który wtenczas bawił w Burgundyi. Capuce ukończył był właśnie pierwszy swój bukiet sztuczny, który tak był znakomity, że po naradzie z burmistrzem miasta postanowił go wręczyć cesarzowi. Uniesiony pięknością bukietu powiedział cesarz panu Capuce:

— Takich kwiatów we Wiedniu nie mamy; a jeżeli pan będziesz miał kiedy ochotę sprowadzić się do Wiednia, z największą przyjemnością udzielię panu upoważnienie do wykonywania tam swej sztuki; zgłoś się pan w takim razie tylok do hrabiego W.

W krótcie potem zaczęła pani Capuce chorować, a lekarze radzili zmienić miejsce pomieszkania; małżonkowie więc wyprowadzili się nasamprzód na wieś, a gdy ta zmiana powietrza okazała się bardzo korzystną, nabrali małżonkowie ochoty do dalszej podróży. Przypomniało im się zaproszenie cesarza austriackiego i postanowili zamieszkać we Wiedniu, co też już w roku 1817 uskuteczнили.

Skład sztucznych kwiatów gustownie był urządzony, niczego w nim nie brakło tylko — kupujących. Ale i na to był sposób. Wtenczas nie było tyle inseratów i beczelnych reklam, co dziś, to też ogłoszenia większe miały znaczenie, a na inserat umieszczony przez fabrykanta w pismach zaczęli zwolna kupujący skład jego odwiedzać.

Pomiędzy innymi przyszedł też w pewną sobotę po południu lokaj cesarski do składu z polecenia cesarzowej Karoliny i zamówił cały garnitur balowy z najpiękniejszych sztucznych kwiatów, ale z tem zastrzeżeniem, aby najpóźniej na poniedziałek z rana był gotowy. Ku wielkiemu osłupieniu lokaja pan Capuce nie przyjął zamówienia.

— Bardzo mi przykro, — rzekł stanowczo, — ale czas do poniedziałku za krótki. Chociażbyśmy dziś do północy pracowali, nie ukończylibyśmy garnituru, a w niedzielę nie pracujemy za żadne pieniądze w świecie.

Służący na wszelki sposób przekonywał go, że nie wolno cesarzowej niczego odmawiać, ale daremnie.

Zakłopotany i gniewny wyszedł ze składu i oznajmił cesarzowej, że Francuz zamówienia nie przyjął, bo w niedzielę nie pracuje.

— To musi być zacny człowiek! — zawołała cesarzowa z podziwem.

Tego samego wieczora cały dwór wiedział o tem niesłychanym wypadku.

W poniedziałek od samego rana zjeżdżały się powozy dworskie i książęce przed skład Francuza, niezadługo też nadszedł patent dla niego na nadwornego liweranta cesarskiego i Capuce zyskał sławę i majątek we Wiedniu.

Tak to Pan Bóg umie wynagradzać za sumienne przestrzeganie trzeciego przykazania — i innych przykazań także.

Wyszli, jak Zabłocki na mydle.

Wielki jest patryotyzm Niemców, ale patryotyzm ten sięga tylko aż do — węgierskiego wina. Skoro Niemiec węgrzyna posmakuje, przekłada on go nad swoje giermańskie wino. Tego zdania była też arystokracja miasteczka A. w Saksonii, nad granicą czeską. A mieli ci panowie często sposobność popłukania gardła tem winem, i to taniej jak u siebie, bo często bywali w oddalonym o dwie mile miasteczku B., położonym w Czechach, gdzie pili wino nieoclone.

W niedzielę przypadła wigilia Nowego roku, a nazajutrz Nowy rok jeszcze donioślejsze miał znaczenia, bo w tym dniu odbyć się miały zaręczyny najstarszej córki pana kasyera miejskiego Mayera, z pierwszym sekretarzem magistratu Mejerem, a pan burmistrz, który urządzenie całej uroczystości wziął na siebie, straszną złożył przysięgę, że zaręczyny tak dobranej pary, bo z równym nazwiskiem, a jednak różnicą dwóch liter, obchodzone być muszą przy szklenicach najlepszego węgrzyna.

Pan burmistrz był duszą arystokracji miasta, a zarazem majstrem w urządzaniu zabaw, to też polecono mu, aby jaką zabawę na Sylwestra wymyślił. Pochwycił więc pan burmistrz tę myśl i urządził na niedzielę wycieczkę na trzech saniach do B.; ale ta wycieczka miała jeszcze cel inny, tj. ten, aby tanio nabyć dobrego węgrzyna na dzień następny. Wdo-

wa po kontrolerze celnym poradziła mu bowiem, aby w każde sanie złożono wielkie brzuchate kamienne banie z gorącą wodą niby dla ogrzania nóg, a w B. napełniono banie węgrzyinem zamiast wodą, coby celnikowi nad granicą wcale nie podpadło.

Dzień był przesłiczny, jakoby brylanty odbijały się kryształki śniegu w promieniach słońca, a sanna była przepyszna, bo mróz dokuczliwy ścinał śniegu powierzchnią. Nasi goście w trzech saniach przybyli nad granicę i stanęli w obozisku pod dębem, gdzie sute spożyli śniadanie, poczem obiecawszy gospodarzowi, że koło wieczora na podkurek wstąpią, wesoło w dalszą puścili się podróż.

Z dobrym humorem i nie złem pragnieniem, podrażnieniem wskutek przedwstępnego śniadania, przyjechało całe towarzystwo do B. Oberza "pod jeleniem." słynęła z dobrej kuchni i jeszcze lepszego wina, to też panowie i panie, zamówiwszy suty obiad, zabrali się do skosztowania rozmaitych gatunków wina, a mianowicie tego, które miało być pite przy obiedzie, tego które dane być miało pod koniec obiadu, i tego, którem dzisiejszą zabawę przypieczętować miano. Ostatecznie z wielkim aplauzem wszystkich wybrano pyszne wino na jutrzejsze zaręczyny, a parobek pana burmistrza, który sam jeden wtajemniczony był w tę sprawę, wylał leśną wodę z baniek kamiennych, przyniósł próżne bańki do sali, poczem napełnione winem schował starannie, aby je przy odjeździe włożyć w sanie pod nogi.

Te próby tak sforsowały szanownych gości, że już mocno zarumienieni zasiedli do obiadu, a gdy o godzinie trzeciej wstali od stołu, natenczas w takim byli wszyscy wysokim nastroju, że wrzawę na trzeciej słyszać było ulicy: śmiechy i śpiewy przebijały wśród głośnej rozmowy, a temu i owemu na płacz i spanie się zbierało. Niebawem też zaprzężono sanie, a goście wyruszyli do domu, mając pod nogami banie z wybornym a tanim węgrzyinem. Banie te wprawdzie nie grzały, jak gdy jechano tudotąd, ale chociaż mróz się wzmagął, goście nic nie czuli, bo każdy miał w sobie ciepła podostatkem.

Tymczasem i najgorętszy zapal ostygnać musiał pod wpływem 28 stopni mrozu. To też gdy przejechano granicę, na której strażnikowi ani przez myśl nie przeszło, aby w bańkach mogło być wino, wszyscy byli radzi, że zajechali do obozisku pod dębem, aby tam dobrą kawą na nowo się zagrząć. Rozgoszczono się więc w ciepłym pokoju, i podczas gdy się

pojono rozkoszną mokką, nikt nie przeczuwał, jakiego figła los zawistny w postaci dziewczki gościnnego im wypłata.

Gdy bowiem goście się bawili, i konie w ciepłej stajni raczyły się obrokiem, a parobcy w szynkowni przy kieliszku wódki i bawara dysputowali o ważności i przyjemnościach ich stanu, zrewidowała usługna dziewczka sanie. W pierwszych zaraz znalazła dwie zimne banie, a ponieważ o ognistej ich treści najmniejszego nie miała przecucia, ani też wskutek ciężkiego kataru zmysłem powonienia odgadnąć jej nie mogła, przeto pobiegła z baniami do rowu, wylała ich treść, a potem do kuchni starannie napełniła je gorącą wodą. Tak samo postąpiła sobie z bańkami w innych saniach, i właśnie szczęśliwie dokonała dzieła, gdy kazano zaprzęgać i całe towarzystwo zabrało się do domu. Zaledwo otulono się we futra i usadowiono w saniach, zawołała jedna z dam:

— Co to jest? Moja bańka gorąca!

— Nasza też! Nasza też do kroćset — — — ! — wołało ze wszystkich stron, a najwięcej przeważał głos pana burmistrza, a zanim sobie ten cud zdołano wytłumaczyć, opowiedziała dziewczka z rozpromienioną twarzą, w nadziei dostania dobrego piwnego, jakiej procedurze poddała owe bańki.

Kilkanaście kop "donerwetrów" były mniej więcej pierwszym wyrazem wdzięczności ze strony panów, a ciche lży żalu i zawiedzionych nadziei ze strony dam. Nic jednakże nie pomogło; trzeba było jechać do domu bez węgrzyna, a pan burmistrz, aby nie złamać przysięgi, kupić musiał z apteki kilka butelek najlepszego wina, tj. najmniej kwaśnej łocygi, a zaręczyny państwa Mayer-Mejer pozostały wszystkim w miłej pamięci w skutek — niestrawności i bólu głowy.

Od Redakcyi.

Zwracamy pp. Abonentom uwagę, że prenumerata za "Dzień Święty" musi być naprzód opłacana. Kto tego nie uczyni, może się spodziewać, że mu wyśłęk Dnia Świętego wstrzymamy.

Opłaty za "Dzień Święty" nie kwituje się w Gazecie Katolickiej dla braku miejsca.

Panowie Abonenci raczą się wstrzymać z oprawą pierwszego rocznika, gdyż wkrótce prześlemy im rejestr czyli spis wszystkich artykułów w tym roczniku zawartych.

Pierwszy rocznik "DNIA ŚWIĘTEGO," bez No. 1 i 2, jest do nabycia w Redakcyi, i kosztuje z oprawą \$1.50.